

ZODIAKI NA ANTARKTYDZIE

"Zodiac" to nazwa renomowanej francuskiej firmy, produkującej najlepsze na świecie pontony. W języku angielskim słowem tym określa się ogólnie wszystkie dmuchane łodzie, niezależnie od firmy, która je wyprodukowała. Zacząłem od definicji, a teraz sedno sprawy, czyli: czym pływa się wokół Polskiej Stacji Antarktycznej im. H. Arctowskiego. Specyfika prowadzonych tam prac badawczych, przeładunek towarów i ludzi ze statku oraz najzwyczajniejsza komunikacja pomiędzy sąsiednimi stacjami wymagają różnorodnego sprzętu pływającego.

Tomasz Janecki



Stacja dysponuje zarówno sprzętem ciężkim - PTS (pływający transporter samobieżny), pchacz KH-200, stalowe pontony, barki paliwowe, drewniany kuter rybacki *SŁOŃ MORSKI* - jak i lekkimi, szybkimi Zodiakami. Są one bardzo popularne na wszystkich stacjach polarnych mających dostęp do wody. W 1998 roku mieliśmy na stacji cztery Zodiaki: oryginalny, francuski Zodiac Grand Ride Mark II, japoński Yamaha YAM430S i dwa polskie Sportisy - 4,5-metrowy z laminatowym dnem i pomocniczy 3-metrowy tzw. Budyń. Do tego silniki zaburtowe: Yamaha 40 KM (2 szt.), 25



KM i 5 KM oraz Suzuki 9,9 KM. Francuski Zodiac pływał głównie z „dziesiątką” Suzuki, ciężki Sportis i Yamaha miały nowiułtkie „czterdziestki” Yamahy, a do Budyńia nic więcej niż „piątęczkę” nie można było doczepić. Najlepiej z naszej dmuchanej floty sprawuje się ciężki, pięciokomorowy Sportis, którego zaletą było owo laminatowe, profilowane dno. Na dziobie ma sztywną, zamykaną bakistę, w której wygodnie mieści się dodatkowy 25-litrowy zbiornik paliwa, drobiazgi „pierwszej pomocy technicznej” i flary sygnalizacyjne. Razem z silnikiem i dwoma zbiornikami paliwa - niestety

- waży on ponad 300 kg i wyciągnięcie go na kamienisty brzeg wymaga siły co najmniej 2-3 osób, mimo pomocy fali przybojowej. Problemu nie ma, gdy slipujemy go (zarówno na wodę jak i z wody) na specjalnie do tego skonstruowanej przyczepie, która wjeżdża do wody. Pływa on w prawie każdych (rozsądnych oczywiście) warunkach pogodowych. Dzięki takiej właśnie konstrukcji dna radzi sobie dzielnie z dużymi falami. Kilka razy zdarzyło się, że musieliśmy płynąć przy 2-3 metrowej fali, aby dostarczyć kogoś na statek albo wracać kilka kilometrów przy zaczynającym się już sztormie (gdy

wyptywaliśmy pogoda była oczywiście wspaniała).

Wczesną zimą, gdy ostatni raz przed zamarznięciem Zatoki pływaliliśmy po próbki wody, Sportis, mimo iż nie posiada żadnej klasy lodowej, musiał stać się małym lodołamaczem i przedzierać się przez pola paku lodowego lub świeżego, miękkiego jeszcze lodu o grubości nawet do 5 cm. Bardzo ważną rzeczą w takich warunkach jest oczywiście napęd, i tu sprawdziły się wspaniale nowe 40-konne silniki Yamaha. Łatwo wprowadzały ponton w ślizg, nawet z pięcioma osobami na pokładzie. Bez problemu „wpychały” go na grzbiety fal i po-

zwały uciec przed kolejnymi. Odpały niezawodnie od drugiego lub trzeciego szarpnięcia, nawet przy temperaturze powietrza -18°C , a wody w okolicach -2°C . W strudze wylotowej wody można było czasem ogrzać sobie na chwilę zmarnięte mimo neoprenowych rękawic dłonie. Bardzo wygodne dla mnie - jako dla osoby obsługującej na stacji Zodiaki (nie mam zupełnie pojęcia jak nazwać po polsku tę funkcję: kierowca, operatora może motorniczcy? Tam nazywało się to „zodiac driver”) było umieszczenie w tym modelu rumpla na środku korpusu silnika oraz, rzecz jeszcze ważniejsza, dźwigni zmiany biegów (rewersu) na rumplu. Jest to bardzo ważne, gdy

całą uwagę trzeba mieć skupioną na manewrach

np. przy dostarczaniu człowieka na sztormtrap wiszący na burcie 18-tysięcznika, gdy zodiakiem rzuca 1,5 m w górę i w dół, a do tego prąd wody ma szybkość 0,5 m/sek. Mieliśmy do dyspozycji dwie śruby o różnym skoku: tzw. siłową i szybkościową; zazwyczaj używaliśmy jednak tej drugiej. Silnik Yamaha 40 KM po roku bezawaryjnego działania w ekstremalnych warunkach antarktycznych zasłużył na najwyższą ocenę. Drugim naszym zodiakiem był (piszę był, gdyż po kilkuletniej „służbie” na Arctowskim wrócił do kraju) zielony, francuski Zodiac model Grand Ride Mark II, o długości 4,5 m. Także pięciokomorowy, lecz już z dmuchanym dnem i z aluminiowym, czteroczęściowym gretingiem. Pływał też bardzo dobrze, choć był lżejszy i przy dużym wietrze czasem podrywało mu niebezpiecznie dziób na fali. Już 9,9 KM „pchało” go w ślizg z dwiema osobami. Podczas zderzeń z falą czuć było jednak, jak jego składane dno lekko się zgina i trzeszczy. Był za to łatwiejszy do wyciągania na brzeg. Mogła to zrobić jedna osoba.

Nasz najmniejszy Sportis - płaskodenny, 3-metrowy „Budyń” jest używany jako „jednostka pomocnicza”, holowany za kutrem (lub

wręcz wożony na pokładzie). Służy do schodzenia suchą nogą na ląd. Napędzany 5-konnym silniczkiem, wymaga dobrej pogody do jakiegokolwiek żeglugi i to tylko przybrzeżnej. Przy kompletnym sztilu jest w stanie przetransportować nawet 5 osób. Jego zwrotność i szybkość pominię milczeniem. Ale nie ma się przecież czemu dziwić ani wymagać czegokolwiek od wędkarskiej łupiny, bądź co bądź na morzu. No i na koniec nasz nowy nabytek - YAM430 S, ponton firmy Yamaha o długości 4,3 m, wersja sportowa z pompowanym kilem. Pamiętam, jak jeszcze przed wyjazdem na Antarktydę testowaliśmy japońskiego Zodiaka wraz z nowymi silnikami na Zalewie Zegrzyńskim. Pływałem na nim kilka godzin i sprawował się wtedy całkiem nieźle, łatwo wchodził w ślizg z pięcioma osobami, był całkiem zwrotny, łatwo wyciągało się go na brzeg. Moja ocena była pozytywna. Na ciepłe wody śródłądowe nadaje się on wspaniale - do celów rekreacyjnych. Niestety w zetknięciu z wodami antarktycznymi (średnia roczna temperatura wody na powierzchni wynosiła -0.2°C , zaś minimalna, przy której jeszcze pływaliliśmy -1.9°C) nie sprawdził się. Pływaki zdeformowały się w miejscach łączenia.

W lodowatej wodzie

pneumatyczny kil, mimo pełnego napompowania nie był w stanie wraz ze składanym gretingiem dać odpowiedniej sztywności kadłuba; po skręceniu kolumny jeszcze przez kilka metrów ponton płynął bokiem, nie mówiąc już o wejściu w ślizg, nawet przy spokojnej wodzie. Dziób podrywało mu wtedy do góry i niebezpiecznie wyginały się łączone części podłogi. Nawet dociążanie dziobu i próby „pompowania”, aby go poderwać nic nie dawały. Dziobowe ucho cumownicze - po prostu odkleiło się. Na Polskiej Stacji Antarktycznej najlepszym zodiakiem pozostaje więc nadal stary (klejony już kilkakrotnie), polski Sportis z twardym dnem.

Fot. Tomasz Janecki

